

Prężą muskuły słabi

1 października 2016

Zawsze śmieszyło mnie sprowadzanie patriotyzmu do zbierania kup po swoim psie albo, w porywach, do rzetelnego płacenia podatków. Oczywiście bycie przyzwoitym człowiekiem ma wartość nie do przecenienia, ale to jeszcze nie to samo, co patriotyzm. Przyznaję także, iż lepiej być przyzwoitym, aczkolwiek niespecjalnie patriotycznym człowiekiem, niż nieprzyzwoitym patriotą. Jednak patriotyzm, poza wypełnianiem obowiązków obywatelskich, łączy się także chociażby z odczuwaniem empatycznej więzi ze swoją wspólnotą polityczną – z całością, jak i z poszczególnymi członkami z osobna. Wiąże się też również z gotowością do ewentualnego podjęcia działań może nie heroicznych (bo do tych zdolny jest mało kto), ale kosztujących wiele wyrzeczeń – dużo więcej niż płacenie podatków. To ostatnie zresztą wyrzeczeniem nie jest, raczej uiszczaniem opłaty za usługi i to we własnym interesie, jeśli te usługi mają być wysokiej jakości. Tak więc, o ile nie da się być patriotą nie płacąc podatków, to samo ich płacenie jeszcze z nikogo patrioty nie czyni.

Żeby autentycznie pokochać wspólnotę, poza treścią musi mieć ona formę. Nie da się pokochać czegoś, co nie ma formy. Dlatego patriotyzm zawsze i wszędzie wyraża się w pewnej symbolice – flagach, godłach, legendarnych miejscach i zdarzeniach. Wspólne symbole, kody kulturowe czy rytuały spajają wspólnotę i sprawiają, że jej członkowie czują z nią ponadczasową więź – ponadczasową, gdyż dotyczy ona także więzi z jej umarłymi członkami, z przeszłymi wydarzeniami. Dla wspólnoty nie do przecenienia są przeżywane razem mecze, koncerty, pogrzeby – wspólna radość daje ludziom pewność, że tworzą jeden podmiot. Wspólnie przeżywana rozpacz czy smutek daje tę pewność jeszcze mocniej. Nigdy nie rozumiałem teorii, że nie można budować wspólnoty na kulcie klęski, np. Powstania Warszawskiego. Niby dlaczego? „Łza ma korzenie zawsze głębsze

niż uśmiech" – napisał Emil Cioran w „Na szczytach rozpacz”. Łza więc wiąże głębiej i trwalej niż niezobowiązujące podśmiejki. Bez wątpienia kolejna rocznica PW’44 czy nawet smoleńska miesięcznica mają większy potencjał wspólnototwórczy niż orzeł z czekolady czy wymachiwanie różowymi flagami, które nic konkretnego nie symbolizują. Podważanie sensowności prezentowania barw narodowych czy obchodzenia tragicznych rocznic jest więc niemądre, gdyż dla wspólnoty mają one niebagatelne znaczenie.

Niestety w ostatnim czasie mamy w Polsce do czynienia z ekspansją patriotyzmu innego typu. Czy też zjawiska innego typu, bo omawiana postawa, jak zaraz postaram się wskazać, patriotyzmem w gruncie rzeczy nie jest. Poza zwykłym epatowaniem symbolami narodowymi, mamy epatowanie poczuciem wyższości i siły (złudnej). Zamiast dumy z polskich osiągnięć, mamy raczej radość z momentów, w których rzekomo okazaliśmy się lepsi od kogoś innego. Zamiast patriotyzmu pełnego empatii i poczucia odpowiedzialności, coraz częściej możemy nad Wisłą podziwiać „patriotyzm” pełen szowinizmu i niechęci do innych. Momentem szczególnie czczonym przez ten rodzaj „patriotów” jest więc Bitwa pod Wiedniem, która nie dała nam zupełnie nic, ale dokopaliśmy w niej muzułmanom, których obecnie się w kraju nie lubi. Osiągnięciem polskiej polityki zagranicznej, które wywołało największą euforię, nie było załatwienie jakichś naszych interesów czy realne wzmocnienie pozycji w gremiach międzynarodowych – było nim wystąpienie premier Szydło w Parlamencie Europejskim, podczas którego klepał nas po plecach najbardziej zmarginalizowany plankton w PE, tylko dlatego, że przy okazji utarł nosa eurokratom. Przestaliśmy się już zastanawiać, jak ma wyglądać polska kultura we współczesnym świecie i czym ma przyciągać – zresztą nad czym tu się zastanawiać, ona od lat leży i kwiczy. Mamy za to dziwną pewność, że jest przynajmniej lepsza od przegniłej kultury lewacko-liberalnego Zachodu, który stracił swój kręgosłup i tożsamość. Czym jest nasz kręgosłup, mało kto ma pojęcie. W czym jest lepszy od tego zachodniego? Już dawno przestaliśmy

odpowiadać na to pytanie. Wiemy za to, że będziemy go bronić maczetami i ubrani w kominiarki, jeśli tylko zaczną nam się tu pałętać jakieś muslimy – co obwieszczają setki memów udostępnianych nawet przez ludzi, których przez lata uważałem za całkiem rozsądnych.

Nie chcę tu dołączyć do szeregu poszukiwaczy odradzającego się w Polsce faszyzmu. Oczywiście ewidentnie nawiązujące do symboliki nazistowskiej parady ONR-u czy przypadki pobić obcokrajowców są godne największego potępienia, ale proste ekstrapolowanie ich na przyszłość i twierdzenie, że niechybnie za parę lat oba zjawiska będą proporcjonalnie większe, ma raczej słabe podstawy. Na tej samej zasadzie Jeremy Rifkin twierdzi, że już niedługo co drugi człowiek będzie prosumentem wytwarzającym zieloną energię, a każda lodówka będzie podłączona do internetu, bo tak mu wyszło z badania trendów. Trendy się zmieniają, są wyhamowywane, innym razem odradzają się te, które wydawały się zapomniane – tak właśnie jest z podnoszącym głowę szowinizmem, który po wojnie już głowę podnosił nieraz, także w krajach Europy Zachodniej. Wszczynanie antyfaszystowskiego alarmu we wciąż najbardziej euroentuzjastycznym społeczeństwie Unii wydaje się więc nieco przesadzone. Jednak coraz większej popularności prostackiego i opartego na poczuciu wyższości „patriotyzmu” nie warto bagatelizować. Głównie dlatego, że może nam to powiedzieć całkiem sporo o obecnym stanie naszej wspólnoty politycznej.

Z grubsza mówiąc, patriota powinien kierować się dobrem ojczyzny. W obecnych czasach o powodzeniu wspólnoty politycznej decydują sprawne instytucje, wysoko produktywne przedsiębiorstwa, rozbudowana infrastruktura oraz sprawne usługi publiczne. Razem składa się to nie tylko na dobrobyt poszczególnych obywateli, ale też na sukces kraju: jego wpływy, prestiż, zdolność do osiągnięcia swoich celów. Jak widać, powyższe niespecjalnie wiąże się z barwami narodowymi czy godłem. Oczywiście symbolika spajająca wspólnotę może niebywale pomóc w wytworzeniu chociażby sprawnych instytucji,

które same mogą potem stać się takim spoiwem. I tak się właśnie dzieje w krajach wysoko rozwiniętych – to właśnie gospodarka czy instytucje stają się czynnikiem, na którym opiera się etos patriotyzmu. Epatowanie barwami narodowymi czy wspominanie dawnych zwycięskich bitew oczywiście wciąż występuje, ale schodzi na drugi plan. Na pierwszy wysuwają się otoczone powszechnym szacunkiem marki niemieckich producentów czy instytucje francuskiego państwa. Obywatel w pierwszej kolejności czuje przywiązanie do nich, a nie do jakiejś XVII-wiecznej bitwy. Oczywiście w krajach słabiej rozwiniętych obywatele muszą szukać tożsamościowego zaczepienia właśnie w symbolice czy historii, bo z ich instytucji czy firm wielką dumę trudno odczuwać. Dlatego w krajach słabszych element symboliczno-historyczny zawsze jest bardziej istotny. Nic więc dziwnego, że w Polsce przywiązanie do symboliki ma większe znaczenie niż w Niemczech czy w Szwecji.

Jednak oczywiście zawsze z tyłu głowy patrioty powinna pozostawać świadomość, że to nie symbolika czy nawet zwycięskie mecze piłkarskie są celem. Celem powinno być osiągnięcie wreszcie tego, co naprawdę składa się na powodzenie wspólnoty. Tymczasem w coraz popularniejszym modelu nowego polskiego „patrioty” – prężącego muskuły i wywyższającego się ponad innych – trudno doszukać się chęci rozwoju naszej wspólnoty politycznej w jej realnym, a nie symbolicznym wymiarze. Wręcz przeciwnie, ci „patrioci” podważają wszystko to, na czym moglibyśmy dalej budować owocną przyszłość. Na przykład gremialnie nie znoszą policji i to nie tylko ci, którzy się z tą policją ochoczo biją. Jak jeden mąż uważają donos obywatelski za kapowanie i powód do wstydu. Urzędników mają za leniwych urzędasów. Jakąś połowę społeczeństwa, czyli ok. 50 proc. własnych rodaków, uważają za lemingów wartych jedynie drwiny i wyśmiania. Jak można nazwać patriotą kogoś, kto nie szanuje instytucji oraz wielkiej części członków własnej wspólnoty politycznej? Często się mówi, że podczas wojny Polscy będą bronić przede wszystkim właśnie ci prężący muskuły „patrioci” – kibice, narodowcy itd.

Mógłbym się zgodzić, z tym że raczej nie będą tego robić z jakiejś wielkiej miłości do naszej wspólnoty. Bardziej z powodu tego, że w końcu będzie okazja do naprawdę niezłej rozpierduchy.

Widać więc, że coraz głośniejszy szowinistyczny „patriotyzm” nie ma nic wspólnego z miłością do ojczyzny. Jest to jedynie sztafaż skierowany na osobiste cele. Motywowany jest chęcią podbudowania własnego ego i wyróżnienia się z tłumu. A kto potrzebuje udowadniać sobie, kim to on nie jest? Oczywiście ktoś, komu brak argumentów, planu działania i przekonania o własnej wartości, a krzykliwe prężenie mięśni może być dla niego jedynym sposobem zwrócenia na siebie uwagi. Chyba najlepszym dowodem na bezradność wobec rzeczywistości znacznej części „patriotów” była słynna sesja zdjęciowa kibiców Zawiszy Bydgoszcz w ich „środowisku domowym” – napakowani i ubrani w klubowe barwy, a często także w kominiarki, niemal wszyscy... okupowali swoje pokoiki dziecięce.

Te same uwagi dotyczą poziomu państw. Niestety krzykliwy „patriotyzm” coraz bardziej widoczny jest także w polityce naszego kraju – chociażby w buńczucznych i często niestety idiotycznych wypowiedziach naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Witolda Waszczykowskiego, w wyraźnym wzmocnieniu narracji symboliczno-historycznej przedstawicieli naszego państwa czy chociażby zupełnie absurdalnych planach MON, by podczas Światowych Dni Młodzieży przedstawić... inscenizację Bitwy pod Wiedniem. Wystarczy wspomnieć, o jakich państwach najczęściej mówi się w debacie publicznej, że prężą mięśnie – to oczywiście Rosja i Korea Północna. Kraje słabe i zacofane, których jedyną kartą przetargową jest to, że mogą boleśnie kogoś uderzyć; ewentualnie ostatnio wpadająca w autorytaryzm Turcja, chcąc uchodzić za państwo wyjątkowo silne i sprawne, choć na jej terytorium mają miejsce zamachy za zamachem. Kraje rzeczywiście silne wolą nie tracić energii na pokrzykiwania i skupić się na załatwianiu swoich interesów – zawieraniu kontraktów, wywieraniu wpływu za pomocą soft power.

Czy widział ktoś kiedyś, żeby prężyły mięśnie Kanada, Szwajcaria albo Niemcy? Chyba najlepszym przykładem takiej strategii są wiecznie uśmiechający się i przytakujący Chińczycy, którzy do zmiany globalnego układu sił zabierają się tak, że 99 proc. ludzi na świecie nie ma pojęcia, że cokolwiek się szykuje.

Nic zresztą dziwnego, prężenie mięśni to nie tylko tracenie czasu i energii – to przede wszystkim możliwość zrażenia do siebie potencjalnych partnerów. A po co kolekcjonować wrogów, skoro można sojuszników? Państwo pokrzykujące nie jest uważane za poważnego i przewidywalnego partnera, raczej za przykład autoparodii. Już nie mówiąc o tym, że w grze międzynarodowej niekoniecznie dobrym pomysłem jest odkrywanie wszystkich swoich argumentów. A jeśli ktoś te argumenty nie tyle pokazuje, co wręcz wykrzykuje, to najprawdopodobniej zostanie to uznane za blef, za którym nic się nie kryje. Strategia cichego załatwiania swoich interesów i zjednywania sojuszników dużo częściej przynosi oczekiwane efekty. Strategia napinania się dobra jest tylko dla tych, którym poza prężeniem się nic już nie pozostało.

Ekspansja krzykliwego szalikowo-wyklętego „patriotyzmu” w naszym kraju nie jest więc dowodem na to, że wstajemy z kolan. Wręcz przeciwnie, w ten sposób raczej przyznajemy się do naszej niemocy powstania z nich. Oczywiście nie chodzi o to, żeby przestać kultywować zapomnianych przez lata bohaterów. Jednak te działania, które powinny być jedynie formą naszej wspólnoty, coraz częściej stają się jej główną, jeśli nie jedyną treścią. Stają się więc dowodem na naszą bezradność w wypełnianiu jej realną treścią – czyli codzienną rzetelną pracą na rzecz osiągania wspólnych celów. A tego w pierwszej kolejności wymaga patriotyzm.

Autorstwo: Piotr Wójcik

Źródło: NowyObywatel.pl